

Teatr Nowy POSK-u przygotowuje kolejną premierę. Tym razem będzie to „Kandyd” Woltera w reżyserii znanego polskiego twórcy — Macieja Wojtylskiego. Angielską wersję wolterowskiej opowieści londyńczyk mógł obejrzeć wiosną, na scenie Old Vica. Polski spektakl będzie się różnił od angielskiego nie tylko brakiem komercjalizmu. Przede wszystkim został on inaczej odczytany — jako przypowieść o życiu i jego sensie.

A.W.: Przy Pana wielostronnej twórczości umiłowaniu teatru jest bezsporne. Jakże więc były początki?

M.W.: Ja właściwie zawsze byłem zafascynowany teatrem. Do tego stopnia, że po ukończeniu szkoły podstawowej wybrałem się do niezwykle zasłużonej i już niestety rozwiązanej szkoły — Liceum Techniki Teatralnej w Warszawie. Po jej ukończeniu otrzymałem tytuł malarza teatralnego. Po maturze zdawałem na reżyserię, nie dostałem się. Zaczęłem studiować filozofię. Po roku znów zdawałem na reżyserię i tym razem się dostałem. Już jako student starałem się pracować w teatrze; współpracowałem ze Stodolą. Po ukończeniu szkoły zanieśliśmy do redakcji telewizyjnej dla dzieci teksty bajek które sam napisałem i zaproponowałem że je zrealizuję. W tym samym czasie ówczesny dyrektor teatru poznańskiego, Zbigniew Napierała, zaproponował mi realizację większego spektaklu w jego zespole. Zrobiłem „Ostatnie dni” Bulhakowa. Było to dosyć udane przedstawienie, które otworzyło mi drogę do teatru telewizji, gdzie zrobiłem ponad 20 przedstawień.

A.W.: Które z nich uważa Pan za znaczące w swej działalności?

M.W.: Przede wszystkim „Smok” E. Szwarcza, a także wszystkie przedstawienia utworów Bulhakowa, których ukoronowaniem jest cztero i pół godzinny serial „Mistrz i Małgorzata”. Równocześnie pracowałem w teatrze, gdzie zrealizowałem kilka

Spotkanie z Maciejem Wojtylską

Anna Wolek

małem wiele pytań, czy zamierzam ten cykl kontynuować. Chyba nie, bowiem nie można zbyt długo radzić, kiedy samemu nie jest się pewnym do końca.

A.W.: Napisał Pan także sztukę...

M.W.: Tak, „Epilog”. Zrealizowaliśmy go w teatrze TV z Janem Nowickim w roli głównej. Sztuka mówi o emigracyjnym okresie życia Mickiewicza i o jego sporze ze Słowackim. Utwór wywołał sporo kontrowersji, że to niemal szarganie świętości. Zaatakował mnie wówczas J. Andrzejewski, który stwierdził, że kontynuuję niedobrą tradycję Boya-Zeleńskiego — chcę odbierać. Z perspektywy czasu widzę, że sztuka nie była taka zła, czy niewłaściwa. Napisałem

kierując się miłością. Nie mam kryteriów ustalonych raz na zawsze. Do moich decyzji przystaje pewien krąg tematyczny. Zawsze mnie fascynował mechanizm twórczości i dość dużo zrobiłem sztuk o sławnych ludziach. Sam napisałem utwór o Mickiewiczu, „Lotta w Weimarze”. „Manna” była o Goethem, „Zmowa świętoszków” o Moliere. Myślę, że ukazanie procesów tworzenia jest dla mnie, oczywiście nie zawsze, pewnym wyznacznikiem.

A.W.: W tej chwili sensacją jest pańska realizacja „Mistrza i Małgorzaty” dla telewizji...

M.W.: „Mistrz i Małgorzata” to rzeczywiście jest wydarzenie, niezależnie od tego, że ja w tym uczestniczyłem. Przede wszystkim dlatego, że po raz pierwszy całość, po drugie wyprzedziliśmy Rosjan, którzy zwlekali ze zrobieniem tego — mimo pierestrojki. W 6 godzinny serial wzięła udział cała czołówka naszych aktorów — Holoubek, Zapisiewicz, Dymna, Kowalski, Benoit, Gajos. Trudno zresztą wszystkich wymienić, zważywszy, że zagrało ponad 200 aktorów i 6 tys. statystów. Myślę, że dobrze się stało, że my Polacy to zrealizowaliśmy. Wydaje mi się bowiem, że nawet Rosjanom byłoby trudno pogodzić dwa przewija-

jące się przez powieść nurty. Jeśli jeszcze historia dziejąca się w Moskwie może im być bliska, o tyle odczytanie wątku Chrystusa i Pilata w naszej tradycji jest chyba głębiej zakorzenione. Prawie wierne przeniosłem na ekran powieść Bulhakowa. Moja jedyna znacząca zmiana, poza koniecznymi drobnymi zabiegami adaptacyjnymi, to scena z krzyżami. W książce nie ma przy nich Małgorzaty. Ja ją tam jednak umieściłem, bo w naszej tradycji to jest niezrozumiałe, że kobiet nie ma pod krzyżami. „Mistrz i Małgorzata” został zaprezentowany w Cannes i spotkał się ze sporym zainteresowaniem. Dodam tu też ciekawostkę. Jest to także pierwsza w Polsce realizacja telewizyjna stereo.

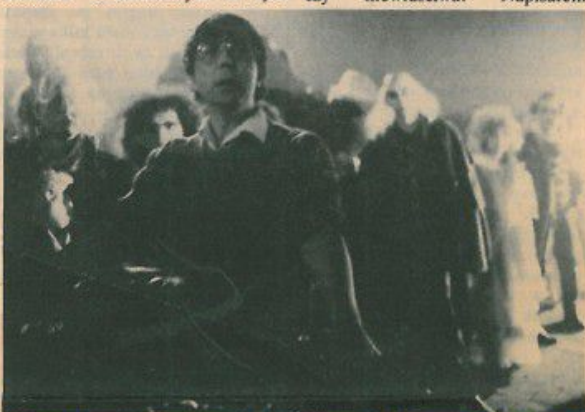
A.W.: Pracuje Pan i w teatrze i w filmie. Którą z tych dwu dziedzin uważa Pan za sobie bliższą?

M.W.: Zartobliwie mówiąc dla tzw. sławy oczywiście film jest ważniejszy. Mnie jednak bardziej interesuje teatr bądź telewizja, bo tam jestem bliżej aktora.

A.W.: Nasza rozmowa nie może się zakończyć bez oczywistego pytania o plany na przyszłość?

M.W.: Po powrocie do kraju — dokończenie „Lejzorka”. Mam też w planach film, o którym na razie wolałbym nie mówić.

A.W.: Dziękuję za rozmowę i do zobaczenia na premierze.



Maciej Wojtylski, reżyser przedstawienia „Kandyd” wg Woltera, z muzyką Jerzego Derfla. Premiera spektaklu, przygotowanego przez „Teatr Nowy”, odbędzie się 9 czerwca

zespole, przed jego rozwiązaniem. Scenariusz oparłem na własnej książce. Następny film nakręciłem w zespole Jerzego Hofmana — „Zodiak”. Był to „Ognisty anioł” wg Briusowa. Zrobiłem także pełnometrażowy film rysunkowy „Tajemnica szyfru Marabuta”. Była jeszcze koprodukcja z Austrią — „Księżycowa droga”.

A.W.: Jest Pan twórcą piszącym. Nie tylko swoje scenariusze. Pana książki dla dzieci cieszą się wielką popularnością, a cykl felietonów w piśmie „Powszechność i praca” przysporzył gazecie sporo nowych czytelników.

M.W.: Książeczki dla dzieci były próbą uogólnienia moich doświadczeń z filozofii. Trudno mi o nich mówić. Należy chyba przeczytać te książki by wiedzieć na ile są one dla dzieci, na ile dla dorosłych.

A.W.: Ja bym powiedziała, że to polska wersja Muminków.

M.W.: Felietony w piśmie księży Michaelitów miały swój początek w Klubie Inteligencji Katolickiej, gdzie zaproszono mnie bym mówił o podstawach reżyserii. Oczywiście w ciągu dwóch godzin nie można powiedzieć wszystkiego i wówczas zrodziła się inicjatywa bym „coś” na ten temat napisał. Tak powstał cykl, który żartobliwie nazwałem „Krótki zarys młodych twórczej”, co było zupełnie nienormalną próbą uogólnienia doświadczeń twórczych. Felietony spotkały się z ciepłym przyjęciem. Kiedy przestałem „doradzać” młodym twórcom, otrzy-

jeszcze parę sztuk dla dzieci i młodzieży. Jedną z nich „Skarby i upiory, czyli hrabia opętany” grana jest teraz w teatrze, w Warszawie. Kilkakrotnie pisywałem też piosenki do przedstawień teatralnych. Traktuję to jako próbę znalezienia w spektaklu miejsce, gdzie można samemu coś dopowiedzieć.

A.W.: Sztuka, którą Pan przygotowuje w teatrze Nowym to „Kandyd”, łącznie właśnie Wolter? Czego się mamy spodziewać po Pana inscenizacji?

M.W.: „Kandyd” to adaptacja moja i Krzysztofa Orzechowskiego. Kiedy zastanawiałem się nad wyborem odpowiedniej sztuki dla teatru emigracyjnego „Kandyd” wydał mi się najodpowiedniejszy, bowiem jest to opowieść o emigrancie, o kimś kto został wygnany z własnego kraju, a teraz chodzi po różnych miejscach w poszukiwaniu szczęścia. Poza tym uważam „Kandyd” za wyjątkowo inteligentną, dowcipną i przewrotną opowieść, która nabiera wartości z czasem. Niepokój jaki w nas się wywala, kiedy uświadamiamy sobie że przypadek może zachwiać wszystko w naszym świecie jest tak silny, że „Kandyd” okazuje się dowcipnym atakiem na teorię porządkującą świat. Między innymi dlatego stwierdziłem, że może on zainteresować tutejszą publiczność.

A.W.: Czym się więc Pan wobec tego kieruje w doborze sztuki na scenę?

M.W.: Ja bym powiedział, że